ROMUALD MINKIEWICZ

NAD MORZEM MOJEM

KSIĘGA TĘSKNOTY

WARSZAWA 1911
NAKŁAD KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA
(T. HIŻ i A. TURKUŁ); LWÓW: H. ALTENBERG.

Szanownym Państwu
Fr. J. Siedleckim
przesyła
autor

NAD MORZEM MOJEM

TEGOŻ AUTORA:

LUCJAN, DRAMAT WSPÓŁCZESNY I PRZYSZŁYCH POKOLEŃ.

U WIECZNYCH WRÓT TĘSKNICY (WYSPIAŃSKI, KASPROWICZ, STAFF).

O PEŁNI ŻYCIA I O KOMUNIE DUCHOWEJ.

O DYSHARMONJACH W NATURZE LUDZKIEJ.

VERSUCH EINER ANALYSE DES INSTINKTS.
(Jena, G. Fischer).

W DRUKU LUB W PRZYGOTOWANIU:

KRÓLEWNA MORZA, BAŚŃ DRAMATYCZNA W 4 AKTACH.

LUDZIE, TRAGEDJA.

IDEAŁ I ŻYCIE.

RECHERCHES SUR LA FORMATION DES HABITUDES.
(Monaco, Musée Océanographique).

SZKICE BICZEM. PROMETEUSZ I KASTRACI.

PIEŚŃ SKOWRONKA, KSIĘGA Z ŻYCIA NATURY.
(Dla dzieci).

ROMUALD MINKIEWICZ

NAD MORZEM MOJEM

KSIĘGA TĘSKNOTY

WARSZAWA: E. WENDE I SKA
T. HIŻ I A. TURKUŁ - 1910
LWÓW — H. ALTENBERG.

Tr 514.210

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.
1910.

Towarzyszce mojej — druhowi serdecznemu

MARJI ŚMIAROWSKIEJ

i wszystkim, którzy wraz ze mną
w pośrodku życia
za Życiem tęsknią
nieuciszenie

tę książkę
poświęcam

„Je sais pourquoi tu geins toujours, grande pleureuse,
Inconsolable mer qui geins même en rêvant,
Et quel rêve impossible et quel voeu décevant
Gonflent de lourds sanglots ta chanson douloureuse"...

(J. Richepin. — La mer.)

*

„Homme libre, toujours tu chériras la mer.
La mer est ton miroir; tu contemples ton âme
Dans le déroulement infini de sa lame,
Et ton esprit n'est pas un goufre moins amer.
. . . . . .

Vous êtes tous les deux ténébreux et discrets:
Homme, nul n'a sondé le fond de tes abîmes,
O mer, nul ne connait tes richesses intimes,
Tant vous êtes jaloux de garder vos secrets!"

(Ch. Baudelaire. — Les fleurs du mal.)

LATARNIA.

PROLOG

(DO TEJ JAKO TEŻ DO WSZYSTKICH PRZESZŁYCH
I PRZYSZŁYCH KSIĄŻEK MOICH).

LATARNIA.

Na cyplu przylądka, nad wodne ogromy
Wzniesiona, — twór władny i mocy świadomy, —

Stawiona na boje z mrokami bezsenne,
W ciemń nocy pociski wyrzucam promienne.

A kędy mój pocisk na fale mórz padnie,
Tam mroków czerń wraża tej chwili nie władnie;

błysk mój zwiastunem i siewcą nadziei
Dla łodzi, zbłąkanych śród wodnej rozchwiei.

Więc płonę, stawiona nad głaźne te złomy,
Gdy czarna noc morza zalega ogromy.

Cóż to?... nagle świat zwidnieje,
W lęku mroków czerń się chwieje,
Morze szczęściem różowieje —
A mój gaśnie wzrok...

Płyną światem wiewne gońce:
Pierzcha noc! zaś wstaje słońce!
Morze widne z końca w końce —
A mój gaśnie wzrok...

Znikły hufce sił ciemności,
Płynie falą hymn radości,
Morze pławi się w jasności —
A mój gaśnie wzrok...

Lecz kiedy noc czarna zalegnie znów morze,
Już oko me błyska promieńmi w przestworze;

Acz nie wiem, skąd nagła ta jasność wytryska?
I nie wiem, kto skrzesał skry mego ogniska?

I nie wiem, dlaczego, widząca skroś ciemnie,
Nie widzę i nie wiem, co światłem jest we mnie?

Przecz blask mój zwiastunem i siewcą nadziei
Dla łodzi, zbłąkanych śród wodnej rozchwiei!

Więc płonę, stawiona nad głaźne te złomy,
Gdy czarna noc morza zalega ogromy.

Zahuczał wiatr
Od śnieżnych tatr,
Od mroźnych gór północy.

Ucieka ptak
W nadmorski szlak.
Już lecieć brakło mocy.

A wicher dął,
Bił gradem, ciął
Znużone skrzydła białe...

Wtem nagły blask:
Mój lśniący kask
Promienną śle w mrok strzałę.

Radosny krzyk:
Ptak skręca w mig,
Zbawczego spragnion słońca.

— Hej! to nie świt!
Ach, poznaj zwid:
Leć w szlak swój, leć do końca! —

Jak ostrzec? jak?
Jak podać znak?
Ptak leci, utkwił oczy —

Zaklęty — w blask,
Uderzył w kask:
Padł z jękiem... we krwi broczy...

Ach, czemuż-em zdradą dla biednych skrzydlaczy,
Tęskniących do słońca wśród drogi tułaczej?

Ach, czemuż moc władna mojego spojrzenia
Rozbicie im wróży, miast ciszy wytchnienia?

BIBLIOTEKA NARODOWA

Przecz blask mój zwiastunem i siewcą nadziei
Dla łodzi, zbłąkanych śród wodnej rozchwiei!

Bo kędy mój promień na fale mórz padnie,
Tam mroków czerń wraża tej chwili nie władnie.

Więc płonę, stawiona nad głaźne te złomy,
Gdy czarna noc morza zalega ogromy.

A nieraz to morze,
Gdzie stoję na straży,
I wichrów tłum wraży,
Rzuciwszy swe łoże,
Z mrokami przymierze
Zawiera.

Szaleje wichura.
Wzdymają się fale.
Już pędzi zuchwale
Spiętrzonych wód góra,
Na skalne puklerze
Naciera.

W nawalnym rozpędzie
Wichr targa mym kaskiem
Promiennym, a z wrzaskiem
Fal tłuszcza w obłędzie
Na zniczów mych wieżę
Się wdziera.

A otóż tu stoję, wbrew wichrom i nocy,
Strażniczka niezłomna, świadoma swej mocy.

A oto tu płonę, u wodnych ogromów
Stawiona, Pochodnia na szczycie tych złomów.

A kędy mój promień na fale mórz padnie,
Tam mroków czerń wraża tej chwili nie władnie.

I blask mój zwiastunem i siewcą nadziei
Dla łodzi, zbłąkanych śród wodnej rozchwiei.

Więc płonę, stawiona nad głaźne te złomy,
Gdy czarna noc morza zalega ogromy.

Zakopane, w marcu 1910.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

„Und wir würden schreckliche Dinge erfahren, wenn wir bei allen Werken bis auf den Grund ihrer Entstehung sehen könnten".

(R. Schumann).

WIECZYSTY BRZEG.
(UNDYNA).

WIECZYSTY BRZEG.

(UNDYNA).

O brzegu, brzegu!
oto wieków tyle
w Czasu krążnym obiegu
trzepocem, biedne motyle,
u wiecznych twych ścian obramienia,
trzepocem drżących tęsknot skrzydłami
i serc szeptane ślem tobie westchnienia:
kto jesteś, tajemny? ach, odkryj przed nami!
. . . . . .
ty milczysz, niezmienny i nieprzenikniony!
a z skrzydeł drżących nam pyłek opada,
a cichy szept serca mrze znużony,
a tęsknot mara kona blada,
a ócz gasnących wejrzenie
z przedśmiertelną żałobą
sięga w twe milczenie:
kto-ś?? cóż za tobą?...

Spójrz, wiekuisty!
oto w tęczy szarfy
ciał swych stroim kształt czysty
i, srebrnostrune w dłoń harfy
ująwszy, w weselnym pochodzie
idziemy, z pieśnią ponad pieśniami,

o wschodzie słońca i słońca zachodzie
ku tobie, wołając: o, połącz się z nami!
. . . . . .
ty stoisz, milczący i nieporuszony!
nie zluźnisz ani nie ściągniesz pierścienia!
chłodnemi nie sięgniesz k'nam ramiony!
odrzucasz wyznania i pienia...
Chłód twój oniemia nam wargi:
umilka pieśń zachwytu;
harfy jękną w skargi
nad bólem bytu.

Trwaj sobie, brzegu!
my płyniem w głąb morza:
tam, w wolnych fal szeregu
goniąc tłumnie skroś przestworza,
w rytm kołysane uniesienia,
w hymn rozśpiewane szczęścia prawieczny,
zbędziem pamięci twojego pierścienia,
a ty sobie k'woli tam trwaj, bezserdeczny!
. . . . . .
daremno, daremno uciekać przed losem...
próżno bezdroża przebiegać tułacze...
ani upojeń zgłuszyć się głosem,
gdy serce tęskni, tęskni, płacze...
O brzegu! spotkaj nas śmiechem
drwiącym: wracamy korne...
Milczysz?... wtórzysz echem...
widmo potworne!

O bądź przeklęty!
zrywamy się jak liść,
jesiennym wichrem ścięty,
by kędyś uciec, kędyś iść,
byle się twego zbyć uroku,
byle już z twoich wyzwolić się pęt,
jedna przez drugą, bezładnie, w natłoku,
ni to liście jesienne: gna lęk nas i wstręt!..

. . . . . .

Cha, cha, cha, cha... o losu ironjo zdradna!
do ucieczki porwane, jak podłych ciur
zlękła, stłoczona kupa bezładna,
miast odbiegnąć, wpadamy na mur
brzegu... Śmiej się, dolo twarda!
drgaj, skopane serce! drgaj!
boli-ć brzegu wzgarda?!
plwaj i ty w brzeg, plwaj!

Ha, drżyj, przeklęty!
ej, cofniesz się ty wstecz!
powstajem, huf zawzięty,
wznosimy zemsty straszny miecz
i gniewu miażdżące oskardy,
idziem na ciebie, groźna rzesza rzesz,
idziemy, pierścień rozkruszym twój hardy!
gdy runiem na ciebie, o drgniesz, ty brzegu, drgniesz!

. . . . . .

straszliwy grzmot!... co? drgnął pierścienny mur?... ach, nie!
stoi wieczysty i nieporuszony,

urokiem śmiertelnym, zaklęty, tchnie!...
Cofa się huf nasz, odtrącony...
wezbrana, fal opada moc...
w tajemnej mrąc obręczy,
serce, zapadłe w noc
wątpienia, jęczy...

Dosyć, tyranie
bezduszny i wstrętny!
cokolwiekbądź się stanie,
już nam jesteś obojętny:
umarłeś dla nas, głuchoniemy!
a choć nam twardy byłeś, w żałobie
milczącej, orszak fal długi, suniemy,
jak gdybyśmy w sercu kir niosły po tobie...
. . . . . .
a przecież okolone cieśnią twoich ram,
— ktokolwiekbądź jesteś: szatan? nicość? bóg? —
wiemy, że jesteś! śmierć twoja to kłam!
o! trwasz, nieprzebyty tęsknot próg!
tęsknot, idących z wieku w wiek,
wrosłych w tajną bytu treść,
wieczystych, jak ten brzeg...
o, żalna-ż to wieść!...

O brzegu, brzegu!
oto wieków tyle
w Czasu krążnym obiegu
trzepocem, biedne motyle,

u wiecznych twych ścian obramienia,
trzepocem drżących tęsknot skrzydłami
i serc szeptane ślem tobie westchnienia:
kto jesteś, tajemny? ach, odkryj przed nami!

. . . . . .

ty milczysz, niezmienny i nieporuszony!
a z skrzydeł drżących nam pyłek opada,
a cichy szept serca mrze znużony,
a tęsknot mara kona blada,
a ócz gasnących wejrzenie
z przedśmiertelną żałobą
sięga w twe milczenie:
kto-ś??... cóż za tobą?...

Maj 1910, w Zakopanem.

BAJKA.

KOŁYSANKA.

BAJKA.

(KOŁYSANKA).

Gdym był dzieciną, małą, maleńką,
O Matko miła!
Tyś mi co wieczór, łzy gorzkie lejąc,
Ach, taką smutną bajkę mówiła,
Tak smutną bajkę, Mateńko.

„Była wysepka wśród oceanu —
Pyłek w bezmiarze —
Któż ci ją nazwie? kto ją dostrzeże?
Tyle ich, tyle w morskim obszarze —
Jednemu znane są Panu.

Na tej wysepce, nagiej, samotnej,
Była dziewczyna.
Skąd się tam wzięła? nikt tego nie wie.
W noc może ciemną — czarów godziną —
Z komety spadła ulotnej.

W noc może ciemną — śród wichrów wycia —
Burzą zagnany
Okręt zbłąkany — z krajów dalekich
Okręt — o skałę wyspy strzaskany —
Ocaleć mogła z rozbicia.

Nikt tego nie wie. Dosyć, że jedna
Była na skale.
Wzrok pełen pytań w morzu utkwiła. —
Jedna za drugą toczą się fale
Przez toń błękitną bezedna.

Toczą się, gonią jedna za drugą
Mieniące fale.
Skąd idą? po co? same nie wiedzą.
Kędy tak idą? w nieścigłe dale?
W wędrówkę krótką czy długą?

Oczy dziewczyny fali bieg gonią.
Próżno się silą.
Przyszły z wieczności, w wieczność odchodzą,
Nieprzeliczone — w oczach się mylą
Nad zmienno-barwną mórz tonią.

Nieprzeliczone idą — mijają —
Niepowstrzymane.
Każda miłośnie wyspy stok muśnie...
Cichych obietnic słowa szeptane
Przedziwnie struny fal grają.

Słucha dziewczyna pieśni o dali,
Wzrokiem w dal sięga,
Tęskni... A morze cuda roztacza. —
Wód kryształowa mieni się wstęga,
Z szafirów tkana, z opali.

Słońce djamenty wpina, promienie
Wplata w toń morza,
Potem się wgrąża całe, rozwiawszy
Płaszcz purpurowy w nieme przestworza,
Nad fal gasnące jaśnienie.

Noc za kochankiem tęskniąc słonecznym,
Złoto-promiennym,
W mgliste osłony światła gwiazd wpina,
Szuka kochanka w świecie półsennym,
W omrocznym morzu prawiecznym.

Szuka z gwiazdami, długo, daremno...
Wreszcie zwierciadło
Bierze księżyca, by choć wspomnienie
Lica, gdy lice jasne przepadło,
Ze sobą unieść w dal ciemną...

Tęskni dziewczyna z nocą tęskniącą,
Goni gwiazd roje,
W słońca odbicie patrzy w księżycu...
Fale jej szemrzą ciche ukoje,
Sen wieją w usypiającą.

Sen się objawia: *Młodzian wyśniony —*
W szacie jak zorza —
W jasnej koronie złotych promieni —
Wstaje potężny — od krańców morza
Serdecznym głosem wiedziony.

Idzie ku wyspie. Szczęścia znicz płonie.
Serce gra pieśnią.
Grają weselnym hymnem przestwory.
Płyną czy lecą... śnią czyli nie śnią...
Nie wiedzą — wieczność w ich łonie.

Pierzcha sen zwodny. Czarna noc grozy.
Wicher szaleje.
Chrzęst ciał miażdżonych. Jęki rozpaczne.
Szloch obłąkany. Wicher szaleje.
Ryk morza. Czarna noc grozy.

Straszno... Do skały tuli się naga.
W płowy włos kryje
Ciało swe drżące, zbite, zbolałe...
Wichr włos roztarga, i śmiechem wyje,
I falą chłosta i smaga.

Dzień — jak dzień sądu. Z czarnej rozchwiei
Wstają bałwany,
Groźne, posępne. Piętrzą się. Suną.
Pomruk złowieszczy, głuchy. Syk piany.
Skonanie wszelkiej nadziei.

Suną. Zamiera serce. Zwisają.
Chwilę się ważą.
Chwilę... niech runą! o, niechże runą!
Byle raz koniec. Upada twarzą.
Zamyka oczy... Mijają.

Wiele się razy dzień zmienił z nocą,
Nie wie — ach, wieki
Trwa już konanie w lęku i trwodze. —
Co to? ucichło?... cisza?... powieki,
Miast przemknąć, zwiera przemocą.

Sen może tylko... O, niech trwa długo.
Śnijcie me oczy! —
Cisza... U skały fala gra tęskną
Piosnkę tułaczą, po mórz roztoczy
Jak gonią jedna za drugą.

Sen może tylko — granie to śpiewne?
Patrzy: — Noc jasna.
Księżyc srebrzystą smugę świetlaną
W dal ściele cichą, kędy — hen — gasną
Tęsknoty wszystkie — rozwiewne.

Jawa... Przecz tęskni? W tęsknot krąg wieczny
Wiecznie myśl bieży...
Ciche westchnienie, skonne, ostatnie.
Skona — nim wstanie z morskich rubieży
Wyśniony młodzian słoneczny."

Tak, gdy dzieciną byłem maleńką,
O Matko miła!
Tyś mi co wieczór, łzy gorzkie lejąc,
Jedną tę w kółko bajkę mówiła,
Tę jedną bajkę, Mateńko.

Matko! utkwiła bajka twa we mnie.
Myśl nie odgadła —
Czyli to życie bajką twą snuje?
Czyli twa bajka życiem owładła? —
Odgadnąć pragnie daremnie.

1907 — Wrzesień w Roscoff, Grudzień w Krakowie.

MGŁA.

MGŁA.

Przedziwnie ciche było morze — —
drżące ciszą oczekiwań,
jak zamarła
w sprężonem napięciu
cięciwa boskiego łuku,
gotująca rzut,
którym wzlecieć miało w przestwór,
w wieczystą orbitę,
promiennym, radosnym lotem
niegasnące, upragnione
słońce szczęścia.

. . . . . .

Jak spięta cięciwa łuku
zamarło w skupieniu morze,
w hamowanem skrytem drżeniu
oczekiwań Cudu,
co kędyś z otchłannej głębi,
z ciemni Wielkiej Tajemnicy
wyłonić się miał —
Cud — czekany od początku
w zamierań tęsknocie —
wyłonić się miał —
olbrzymi —
i bezmiarem cudnej treści,

wrącej niekiełzanem życiem,
ach, wypełnić miał nareszcie
bezmiary tej pustej głębi,
zamarłej w tęsknocie...

. . . . . .

Wraz z morzem,
w napiętem skupieniu,
w bezszelestnem skrytem drżeniu
oczekiwań Cudu —
zastygłem i Ja...
Wtulony
w nagi skalny zrąb,
z oczyma wżartemi w głąb
przecichą, żądny Cudu,
a jestestwem całem,
zbiegłem we wzroku i słuchu,
z morzem w jeden byt stopiony —
zamarłem w bezruchu...

. . . . . .

Czekałem...

. . . . . .

Zali
kędyś, kędyś z dali —
z głębin morza czy z obłoków —
nie doleci szelest kroków
nadchodzącej Tajemnicy?
Zali
nie mży gdzieś na fali
zaświt — zwiastun bladolicy?

Słuch tężyłem...
Wzrok siliłem...
Wraz z morzem
czekałem w drżeniu,
w napiętem skupieniu,
że gdy skalna osypina,
drobniutka jak pył,
w nieruchomą toń upadła,
wola nami już nie władła:
bolesny mną targał wstrząs,
a toń szła w wirowy pląs,
jak pod zwałem brył...
a to jeno osypina...

. . . . . .

Ach, czekałem —
Wtulony w zimny martwy głaz,
zamarłem w skupieniu,
w tęsknych oczekiwań drżeniu —
z morzem wraz.

Znagła
wstrząsnęło się morze,
jak dreszczem przeraźnym zdjęte
od krańca po kraniec — —
i na omroczną
krawędź północną
wczołgał się potworny łeb,
strupami oblazły,
łysy, —

wparł się cłapiącemi łapy
w dygocący morza grzbiet, —
ślepia kaprawe, zropiałe,
chutliwie połyskujące
zielonawo-szarym łyskiem
potoczył okręgiem morza
aż po skałę,
gdzie — wtulony —
zamarłem w bezruchu, —
i powieki bezrzęsnemi
łypiąc, łypiąc,
utkwił chutne ślepia we mnie,
zjadliwe, przeszywne,
w serce jakby zimnem ostrzem
wrażające wstrętny lęk,
że się — drżący — w głaz wtulałem, — —
wwiercał w serce zimne ślepia
z zielonawo-szarym łyskiem,
i, straszną rozwarłszy paszczę
o czarnych zeżartych kielcach,
z odwisłym ozorem,
ociekłym charchami śliny,
chrapliwym rechotem rżał,
skrzypiącym po sercu,
jak zgrzytliwa piła...
a z nozdrzy,
dymiących jako dwa kominy,
zionął zgniłą żółtą parą,
uduszną, zaczadną,

ścielącą się na morską toń
ciężką, nieprzejrzaną mgłą.
Sercem targa ból nieznośny.
Stój, przeklęty!
stój!
ty mi nozdrzy twych wyparem
morza nie zasnuwaj!
serca mego nie zatruwaj!
Stój!
tam — w tej głębi wód
miał się zrodzić Cud,
Cud szczęścia święty...
ty mi go nie skrywaj!
serca bólem nie przeszywaj!
Stój!
tam Cud,
tam Cud się rodzi!
Cud pragniony mój,
może... może... już nadchodzi!
ach!
rechotem
kroków jego nie przygłuszaj!
stój, nie zgłuszaj!!
stój, nie zgłuszaj!!

Potwór rżał,
chichotał,
sapał, mgłami zionął,
zionął...

Za sunącym mgieł okłębem
boleśnie wzdychało morze, —
a potwór darł je łapami
w piekielnej uciesze, —
w podrygach lubieżnych,
z przeraźliwym chutnym kwikiem
tarzał się po czystej toni,
z rykiem wściekłym, rozjuszonym,
w miażdżącym rozmachu
ogonem obmierzłym bił.
Oszalałe w bólu morze
wiło się, wzdymało,
tłukło się o skały z jękiem,
żaliło się, szlochało,
łkało...

. . . . . .

Zamarło serce.
W piekielnej uciesze
potwór rżał.

. . . . . .

. . . . . .

Mgły — zatęchlice
zimną, grobową niewidnią
zaścieliły morze.

Wysnute w Villefranche-sur-mer, Maj 1905.
Wskrzeszone w duszy i odtworzone w Zakopanem, Kwiecień 1908.

SKAŁA.

„Poemat nie koniecznie ma być długi.
Niegdyś wyraz każdy był poematem".
(Emerson).

SKAŁA.

Płynął
za Słońcem...

. . . . . .

Wokoło niego były fale,
bezkresne —
jak jego tęsknota,
niezgłębione —
jak dusza.

Płynął
za Słońcem...

. . . . . .

Przed nim nie było nic —
jeno fale,
i nic — jeno fale — za nim,
nieprzeliczone —
jak uderzenia serca
od kolebki do mogiły,
zmienne, jak chwile
w życia urągliwym kalejdoskopie,
kręconym ręką bezmyślną
zdziecinniałego Boga.

Za Słońcem płynął —
dzień-li? czy wieczność?
nie wiedział...
Jakoż miał wiedzieć,
gdy wokół nic
krom fal jednostajnej różnorodności,
niewyczerpanej jak ból?...

Dzień-li płynął,
czy wieczność?
nie wiedział...
Płynął od początku —
odkąd nad głuchą ciemnią przedbytu
stało się Ono —
— Słońce —
żarzewie twórcze,
wieczności myśl promienna,
Ono — Wszechserce —
drgnień źródło,
poruszeń i uniesień,
rozkoszy i cierpień,
upragnień i spełnień,
Ono
— Słońce!

A odkąd stało się Słońce
i stało się morze
i on, —
płynął za stwórcą swoim,

za Zniczem życia,
za swoją siostrą bliźniaczą,
za swą kochanką,
jedyną,
nieodłączną...

Z oczyma w słońce utkwionemi,
wśród nieustannego fal kołychania,
bezkresnych, jak jego tęsknota —
płynął
od początku
przez dnia swego
wieczność...

Aż oto
stoczyło się Słońce
w dalekie, mieniące się fale —
i znikło.

. . . . . .

Krwi z serca struga
wytrysła
w okrąg gasnących przestworów,
a oczy,
w Znicz zgasły wbite boleśnie,
znieruchomiały
na wieki.

Głowa martwa, kamienna, tkwi wpośród morza,
na zachód zwrócona.

Roscoff, Sierpień 1907.

ZACHÓD TAK CICHY...

ZACHÓD TAK CICHY...

Wandy cieniom ukochanym.

Cichy, mętny nieco, bez barw jaskrawych zachód.
Morze uszło —
uszło kędyś, w dal daleką,
za szeregi skał,
niknących szczątków skruszonego lądu —
za błota szklącego rozłogi —
za piachu ławice. —
Uszło.

Ścieżka wśród smutnych,
okutych w zagrody kamienne,
bretońskich pól...
tu i owdzie krzewów kępka —
w oddali drzew parę.
I ta więzienna ścieżka
wpośród smutnych pól...
O pola, pola moje,
rozległe, złote!
o boru prawieczny, przepastny, cienisty!
o jasna łąk moich dalekich zieleni! —
Jakaż bezmierna tęsknota...
Ciszej! ciszej, serce!

zaliż to jedno tylko?...
ciszej!...

Zachód tak cichy —
bez barw krzyczących,
bez pychy gasnących promieni,
bez bólu łamanej potęgi.
Obłoków zwiewnych,
twórczych,
zwijających się w kształty przedziwne —
zalew cały
tam! — nad uchodzącem morzem,
na cicho mrącym zachodzie...

Ostatnie trele skowronka.
Jakże dawno, jak dawno słyszałem skowronki.
Czekaj, kiedy to było?
O, wiem już,
wiem;
przed krwawym,
jęczącym,
rozpacznym zachodem,
przed strasznym, oślepłym zalewem,
co ciebie, dziecię,
zmiótł —
i marsza żałobnym
miarowym tupotem
przeszedł po duszy —
i zdeptał.

Ciszej, serce! —
o, ciszej!
zachód dziś cichy
w obłoków zwiewnych, twórczych zalewie —
nad uchodzącem
za skruszone skały
morzem,
zostawiającem pasma błót,
lśniących jak szyby lodu na wiosnę,
jak szyby lodu, tającego
pod ciepłem, serdecznem, radosnem tchnieniem
wiosennego słońca.

. . . . . .

Słuchaj, czy wszystkie lody tają?
czy taje — powiedz! — całun lodowy,
co jak dusząca śmierci opona
legł
na rwące się ongi
w szale bolesnym
marzenia serdeczne?...
czy taje całun śmiertelny, powiedz?
powiedz!
pod promieniami słońca twórczego czy taje?
czy taje?...

Ach, ucisz się, serce!
dziś przecie zachód cicho tak gaśnie
nad uchodzącem w dal morzem,
jak na sen

po pracy nużącej —
jak na sen bez snów
i przebudzeń —
jak na sen bez jutra —
na wieki.
Amen.

Roscoff, w Lipcu 1907.

ODPŁYW.

ODPŁYW.

Morza niema —
wzrok próżno wytężam,
wytężam...
dłonie zwinięte przystawiam do oczu,
zmartwiałych z wysiłku...
daremnie!
morza niema.

Martwa, naga pustynia wilgotnego piachu —
szara, zrównana, nieogarniona mogiła. —
Ach, stąpaj ostrożnie!
nie depc stopą twą obcą
szczątków zgasłego życia,
po cmentarzysku rozsianych!
wiesz-li? czują może jeszcze,
wsłuchane w melodją konania — —
wiesz-li?
może to pierwsza,
może jedyna melodja,
jaką słyszeć im dane — —
miałbyś ją zdeptać?
wraz z niemi w chrzęszczący piach wdeptać,

co zaległ szarą bezbrzeżną pustynią
byłego morza cmentarzysko?...

Było...
było jasne, potężne —
jak życie...
Kryształowe swe tonie w słońcu świetliło —
tysiącem promieni igrało —
załamując w barw tęcze,
rozpryskując iskier perłowych snopami...
Głębią spragnioną
chłonęło promienie,
pieściło promienie,
marzyło promienie,
promieńmi żyło —
potężne, jak życie.
Twórcze, jak życie.
W każdej iskierce kropli krysztalnej
migotały światy żywe,
wyczarowane pełnią twórczości,
wznoszącej fal łono pragnieniem nabrzmiałem,
pragnieniem nieukojnem
hen! w nieprzejrzane,
zagadką wiekuistą uśmiechnięte, przeźrocze
dalekich, omglonych błękitów.
Wzdymało się ku nim,
potęgi swej granic nie znając —
i grało im
i sobie

cudowną, tytaniczną pieśń
tęsknoty
i życia.
Wielkie, twórcze morze moje.

Było...
Wszak było?!
tu — wszędy — wokoło —
gdzie piach ten chrzęszczący zalega
połyskującą trupio równią —
wszak było?!

Cha-cha-cha-cha-cha —

Jakżeż to słońce głupio się śmieje,
jak się promiennie śmieje,
jakże się śmieje wesoło —
nad mogiłą
morza,
które
było...

Cha-cha-cha-cha-cha —

O, nie śmiej się!
Zgaśniesz i ty!

Roscoff, w Lipcu 1907.

JAK TOŃ OCEANU.

JAK TOŃ OCEANU.

Dusza mędrca jest, jako głębna toń oceanu,
niezamącenie czysta, acz krocie ludzi z lądu —
wykonawcy bezmyślni szatańskiej złości planu —
stosy trupów walą, potoki kału i trądu.

Niezmącenie cicha, choć ścmi się świat jak w dzień sądu,
rozszaleje nad ziemią potworny szał orkanu,
muł i piach niosą rzeki wezbraną siłą prądu,
a wód powierzchnią targa bolesny skurcz bałwanu.

Tak i dusza mędrca — skupionej pełna pogody,
choć gmach marzony szczęścia rozmiotą wichrem burze,
choć los spragnionym ustom goryczą pełni kruże,

choć spieka skroń tułaczą pali, żądną ochłody,
a mroźny powiew zimy — serdeczny żar wyziębia, —
trwa niezmącenie cicha, jak oceanu głębia.

W Poroninie, Luty 1908.

PRZYPŁYW.

PRZYPŁYW.

Huczy —
oh! huczy w oddali — —
. . . . . .
Z krańców — hen — z krańców
głuchy wstał poszum,
jakoby lotu ptaków wichrowych — —
idzie tu — ku mnie
rosnącym pogwarem,
jak tentent odległy skrzydlatych rycerzy,
mknących w zbroic poszczęku — —
bliży się — —
z hukiem przeciągłym
działowych salw,
z łoskotem gromów,
przewalających się w chmurach — —
. . . . . .
Idzie rosnący — —
. . . . . .
Moc tchnie w żyły —
radość w serce —
w duszę życie,
wrące, twórcze!

O Morze!!

O Morze moje!

. . . . . .

O Morze moje...

Szedłem ku tobie,
któreś mi znikło —
tak długo, tak długo...

. . . . . .

Przez piachy mokre —
wyklęte —
wlokłem się noga za nogą — —
Stopy me bose
twory raziły pokrzywne
jadem niewidnym,
ogniącym w świerzb i puchlinę — —
A Nędza się śmiała —
ach, nie wiem, poza mną?
czy we mnie?
że wlokę się, wlokę, wlokę daremnie...

. . . . . .

A ja się wlokłem — — —

. . . . . .

Przez błót cuchnących
brnąłem zachłanie,
więżące me nogi jak gadzin oplotem,
za każdym ruchem
z obmierzłym chlupotem
rozwierających swe paszcze —
wstrętne, bezzębne — —

Mrużyłem oczy...
Osłabły doznaku,
bez chwili spoczynku,
by nie wgrzęźć na zawsze,
nogę za nogą
wydzierający z uścisku
tłustych, cuchnących warg,
mlaskaniem w dreszcz rzucających —
brnąłem ku tobie — — —
A Nędza się śmiała —
ach, nie wiem, poza mną?
czy we mnie?
że wlokę się, wlokę, wlokę daremnie...

. . . . . .

A ja się wciąż wlokłem
ku onym krańcom,
gdzieś znikło z mych ócz.

. . . . . .

Przez pola darłem się głazów,
porosłych w haszcze
dziwnych, oślizgłych, zdradliwych,
pod stopą skargę chrzęszczących żałosną,
stworów brunatnych —
warechów — —
Raz po raz zrywała się stopa,
krwawiąc po ostrzach — —
Padałem twarzą,
czoło tłukąc,
raniąc dłonie — —

I znowu wstawałem,
na głazy się darłem,
w warechy — —
I znów padałem — — —
Szedłem ku tobie,
któreś mi znikło — — —
A Nędza się śmiała —
ach, nie wiem, poza mną?
czy we mnie?
że twe istnienie już złudą-li kłamną,
że wlokę się, wlokę, wlokę daremnie...
. . . . . .
A ja się wciąż wlokłem — — —
Boś przecie być gdzieś musiało —
Ty — moje Morze!!

Huczysz! —
Oh! huczysz — —
. . . . . .
Wracasz z oddali,
z krańców — hen! z krańców
z głuchym poszumem,
jakoby lotu ptaków wichrowych — —
wracasz —
z pogwarem rosnącym,
jak tentent odległy skrzydlatych rycerzy,
mknących w zbroic poszczęku — —
bliżysz się
z hukiem przeciągłym

działowych salw,
z łoskotem gromów,
przewalających się w chmurach — —
. . . . . .
Bliżej — bliżej — — —
. . . . . .
O jutrznio!
O jutrznio zmartwychpowstania!
. . . . . .
W dzwony wal, serce!
tańcz!
tańcz i szalej!
. . . . . .
Morze powraca!!
Wraca zginione —
długo, samotnie, śmiertelnie tęsknione,
czekane
w wątpień rozterce,
w krwawej wędrówce szukane...
. . . . . .
Idzie, lśni w słońcu,
w poszumach śpiewa,
tułacze bezdroża me falą zalewa
żywiącą, twórczą, radosną — —
. . . . . .
O zalej je, zalej!
nad puste rozłogi płodnością rozszalej,
bujną, jak ziemi siew wiosną!
. . . . . .

Idzie, lśni w słońcu,
za pięzią pięź bierze,
jak lotni rycerze
natarciem zdobywa,
radosnych fal tłumem
martwotę rozłogów tułaczych przykrywa
żywego życia poszumem,
hozanną zmartwychpowstania! — — —

. . . . . .

O, śpiewaj ją dalej!
Morze ty, Morze!

. . . . . .

A ty, moje serce,
na jutrznię wal w dzwony,
i tańcz, i tańcz!
i szalej!...

W Poroninie, styczeń 1908.

W CZAS BURZY.

W CZAS BURZY.

Nadchodzi czas! nadchodzi czas!
Ze snu się zrywa Olbrzym Wód
Na wielki bój, na wielki trud,
W idący burzy czas.

Ach, wieków tyle pierś mu gniótł
W uścisku strasznym łańcuch skał.
Za ruchem każdym ciało rwał
Ostremi zęby głaźnych szczęk,
A On bolesny tłumił jęk
I długo żywot gnuśny wiódł.

Lecz oto idzie burzy czas:
Ze snu się zrywa Olbrzym Wód
Na wielki bój, na wielki trud,
W idący burzy czas.

Już wstaje mnogi zastęp fal.
Do walki rzuca się, jak w tan.
Za wałem wał, za wałem wał,
W szalony cwał, w rozpaczny cwał,
Z rozwianą grzywą białych pian,
Z okrzykiem grzmiącym pędzi w dal.

Bo nadszedł wielki burzy czas:
Ze snu się porwał Olbrzym Wód,
Na walny bój, na ciężki trud,
W nadeszły burzy czas.

Junaczy w hufce wstąpił szał:
Na krwawy lecą bój, jak w tan,
Już walą w skały raz po raz.
Chrzęst, łoskot, jęk... Drga wrogi głaz,
Ocieka krwią dymiącą pian
Zmiażdżonych fal... I trwa, jak trwał.

Lecz trwa i burzy gniewny czas:
Na walkę powstał Olbrzym Wód,
Na krwawy bój, na krwawy trud,
W gromowy burzy czas.

I gniewny rzuca się jak lew.
Rozpręża kark, potężny grzbiet,
I nowy zastęp ciska wnet
Na twarde cielska wrogich skał.
I leci znów za wałem wał,
I bije w głaz... i spływa w krew.

I wciąż szaleje burzy czas:
Zapasy toczy Olbrzym Wód,
Boć wstał na bój, na wielki trud,
W śmiertelny burzy czas.

I skupia w łonie moce sił,
Napina mórz tytański łuk,
Natęża gniew w pocisku grom,
Grotami fal uderza w złom
Potwornych skał... Straszliwy huk!
Konanie fal, rozprysłych w pył...

Szaleje krwawy burzy czas!
Niezmożon przetrwa Olbrzym Wód
Śmiertelny znój, śmiertelny trud,
W ten straszny burzy czas.

I nowe śle już hufce fal...
I nie ustanie krwawy bój,
Aż pęknie żrący łańcuch skał,
Aż się rozkruszy w nikły miał!
Hej, nie ustanie krwawy bój,
Aż pieśń zwycięstwa pomknie w dal!

Bo nadszedł czas, dostały czas:
Bój walny toczy Olbrzym Wód,
Zwycięski bój, zwycięski trud,
W wyzwoleń wielki czas!

Październik 1904, w Krakowie.

NAWROTY FAL.

(UNDYNA) *

*) Inny typ tego wykształtu poetyckiego, który nazwałem „undyną". (patrz wyżej: „W i e c z y s t y b r z e g"). Dlaczego „undyną"? łatwo — sądzę — zrozumieć.

NAWROTY FAL.

(UNDYNA.)

Wwyż, w dal!
hen — w górną
dal bezchmurną,
w jasną, modrą dal,
w nadobłoczne kraje
snów, marzonych w biały dzień,
w wytęsknione ciche raje
niebios, nie spowitych nigdy w cień,
w sfer krysztalnych przejrzyste błękity,
niezamącone ziemi wietrznem tchnieniem, —
dążę, unoszona dziwnemi zachwyty,
wznoszę się... pragnę raz bodaj objąć spojrzeniem!
. . . . . .
Ach! nieukojoną łkać mi wiecznie tęsknotą,
bo ziemskich pochodzeń kto dźwiga ciężary,
ledwie się wzniesie nad własną ciasnotą,
północ już biją losów zegary:
już niemoc skrzydła wiąże w pęta,
już znużenie kłoni dołu....
staczam się, odżegnięta
od pańskiego stołu,
poskromiona w snach,

niebios głodna —
niegodna —
we łzach.

I znów
gna tęsknota,
gdzie gwiazd rój migota,
gdzie mleczny się snuje pas snów,
gdzie mgławic bezdeń lśni wyiskrzona,
chcę sięgnąć! rozprężam spragnione ramiona —
. . . . . .
Ach! próżno twór ziemski ku gwiazdom się wspina,
niedościgniona bytów kraina,
gdy własny marny cięży byt,
opadać zniewala...
niknę, fala,
jak mit.

Lecz wraz
powstaję, rosnę,
łono nabrzmiewa miłosne
ku bogu Słońca: niech pije czar mych kras!
. . . . . .
ach! ledwie promiennych ócz musnął mię żar,
szczęście wnet zwija się w łonie, —
głąb ciemna chłonie
snów czar.

Hen! hen —
jawi się blady sen:
przyzywa martwa postać Księżyca...
. . . . . .
ach, bezsilna za Zmarłym tęsknica:
błędnych nie stargasz kół;
leć w dół!

I tak
raz wraz lecę, tęskny ptak, —
. . . . . .
ach, i raz wraz kończę lot:
kres, wrot...

Luty 1908, w Poroninie.

CISZA.

CISZA.

Na skrzydłach białych,
rozwianych w bezkresy,
otulających w błękitny sen światy
i serca mórz
i dusze —
zawisł ptak Ciszy...
ptak Ciszy.
W skrzydeł ocieniu
Czas stanął w uśpieniu,
pośniętą dłonią
znieruchomione
trzymając słońce,
siejące
skry.

. . . . . .

Morze śni...

. . . . . .

Hej! tęsknoty dziwne szły —
stado białych mew...
płynął cichy, gędźny zew,
wabił, nęcił w tajną dal...
grały drżeniem serca fal — —

szczęścia wróż — zew ten!

. . . . . .

Ach! nie... to tylko sen.

. . . . . .

To w słonecznych skier jarzeniu
roześnione morze śni...

. . . . . .

Hej! junacze fale szły
skalny rozbić brzeg,
jedna drugą nagli w bieg,
biją! — prysły w wodny piarg — —
cichy jęk... szemrania skarg...
żałośliwy tren...

. . . . . .

Nie, nie... to tylko sen.

. . . . . .

To w błękitnej Ciszy tchnieniu
ukojone morze śni...

. . . . . .

Hej! ponad niem burze szły,
szatan-wicher wył,
góry spiętrzał, żleby rył,
biczem chłostał, w strzępy rwał,
pianą oszalały plwał
aż w niebiosa — hen!

. . . . . .

Nie! — to tylko sen.

. . . . . .

To sen niewinny morze śni.

Zresztą nic.
Skry
sieje słońce,
nieruchomo tkwiące
w dłoni Czasu,
że stanął w uśpieniu,
w ocieniu
białych skrzydeł Ciszy,
rozwianych w bezkresy —
w bezkresy —
błękitnym ukojem
otulających świat
i serca mórz
i dusze...

2 lutego 1908, w Poroninie.

NOKTURN KSIĘŻYCOWY.

(CICHY, HARFIANY.)

NOKTURN KSIĘŻYCOWY.

(CICHY, HARFIANY.)

Świetlany, promienny,
szlak srebrny, szlak senny,
wskroś toni bezdennej
wieczystą śni dal...

. . . . . .

Nad cichą, półsenną,
wód tonią bezdenną,
w poświetlę promienną
westchnienia mkną fal...

Fal ciche westchnienia,
na strunach z promienia,
melodją marzenia
rozdźwięczą wskroś noc...

. . . . . .

Na strunach z promienia
melodja marzenia
śród bytów milczenia
rozbrzmiewa snów moc...

Krysztalne strun tony
ślą fal hymn natchniony

w krąg bytów uśpiony,
gdzie perły gwiazd lśnią...
. . . . . .
Brzmi fal hymn natchniony
w krąg bytów uśpiony,
gdzie wieków miljony
daremnie raj śnią...

Daremnie czekany,
raj śniony, nieznany,
na srebrze strun grany
poszeptem mych fal...
. . . . . .
Strun srebrem rozdrgany,
raj śniony, czekany,
tka szlak swój świetlany
w wieczystą sfer dal.

w Roscoff, sierpień 1907.

CZĘŚĆ DRUGA.

„...orła, który słońce miał na oku".
(Król-Duch.)

„Wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodu, lub duszy świata".
(przedmowa do „*Lambra*".)

RYBAK.
POWIEŚĆ LIRYCZNA.

Staruszkom moim
przypisuję.

PRZEDMOWA.

Nad jakiem było to morzem? —
zaliż nie wszystko jedno...
Było nad morzem, jak życie, rozległem
i nieubłaganie, jak życie, potężnem, —
i tak jak życie sfinksowem,
pełnem złowróżbnych,
grozą wiejących,
nieuniknionych, jak klątwa, zagadek
i wiekuistych,
nieprzenikalnych,
jak śmierć nęcących
i nieochybnie ku śmierci wiodących
tajemnic.

. . . . . .

Gdzie?... nie pytajcie!
Kędyś, kędyś,
na zatraconym w przestrzeni,
nikłym skrawku pobrzeża,
niedostrzegalnie małym
wobec wszechżycia i morza.
A kiedy?... nie pomnę...
Dusza nie pomni...
Jakoby dawno,

niespamiętanie dawno...
a może... wczoraj —
czekajcie! dziś może jeszcze...
Dusza nie pomni:
— lata i wieki, jak wicher, mijają,
jak wichr,
jak radość...
a chwile okrutne bez końca się wloką,
czołgają się,
pełzną
śmiertelnie tak wolno,
jak ten potworny,
bezkresny smok Bólu...

. . . . . .

Gdzieś — kiedyś — było —
nad morzem.

I.

HYMN OFIARNY.

Ocean szalał — — —
piętnaście długich dni,
jak noc pod chmur powałą mrocznych, —
piętnaście długich, ciemnych nocy — — —
Wicher dął z straszliwą siłą,
bezustannie ziemią wstrząsał
i nawalnym chlustał dżdżem,
jakby zmieść z niej wszystko chciał.

. . . . . .

Porównanie z nocą dnia
świat święcił
tej piętnastej doby.

. . . . . .

Wicher wył.
Ocean szalał.

. . . . . .

Kędyś,
z czarnych głębin,
z otchłannych czeluści
wyrzucał potężne góry —
na krawędzi światów potwory wstające,

z głuchym, przeraźliwym warkiem sprężające grzbiet,
w kołysanym, groźnym tańcu sunące na świat,
pod miażdżącą wód nawałą gotujące śmierć...

. . . . . .

Idą!
idą na ląd!
pod ciężkiemi stopy
ugina się okrąg wód, —
dudnią, huczą, grzmią przestwory, —
kłęby pian syczących zioną smoki gór,
z piorunowych strzał łoskotem walą w ląd:
ziemia drga — głuszący huk — skał twardy trzask —
ryk wód —
rum brył —
chrzęst i zgrzyt —
jęk fal —
syk pian...

. . . . . .

Ocean szalał,
wicher dął —
już piętnaście dni i nocy.

W chatach ubogich,
porozrzucanych śród głazów nabrzeżnych,
marli rybacy
z głodu i zimna.
Żywności nie stało:
chleba ni ryb,
jeno cebulę gryźli surową...
Wyjść nieporada:
wicher z nóg zrywa, —
ni ognia rozpalić :
zaduje, rozmiecie!
Tulili się wespół
na kupach ściółki:
grzeli siebie nawzajem —
i raz wraz ku małym,
w dżdżu nieustannie dzwoniącym,
szybom nizkich, krzywych okien
żałośnie, tęsknie pozierali,
zali się nie zjaśnia?...
. . . . . .
Próżno.
Mrok.
Wciąż wicher dmie —
ocean szaleje —
już piętnastą zrzędu dobę.
. . . . . .
Tej doby dnia zrównanie z nocą
święcił świat.
. . . . . .

I w noc tę czarną,
z którą miał być porównany
nadchodzący dzień, —
w jednej z chat,
zatraconych wpośród skał
nad brzegiem gniewnego morza, —
ujrzał świat.

. . . . . .

Gdy zakwilił w zimnie chaty,
ojciec — rybak stary,
osiwiały w bojach z morzem,
o skórze spalonej wichrem,
jak spękana kora drzew —
wziął go w namulone dłonie,
uniósł ku okienku,
za którem czerniała noc
i ocean szalał, —
i, żylaste ręce
z dzieciną kwilącą
ku Groźnemu wyciągając,
głosem począł wołać wielkim
ofiarne, błagalne modły:

„Grzmiące Morze! Gniewne Morze! Groźne, Wszech-
Otoć dziecię ofiaruję, dziecię niedołężne. [potężne!

Przyjmij je na łono Twoje, bądź mu miłosierne:
Święcę Tobie je na życie, toniom Twoim wierne.

Święcę Ci je. Potłum w sobie żądze Twe straszliwe!
Potłum złości, stłum wściekłości, bądź mu litościwe!

Bądź mu Ojcem, poskrom gniewu nawały faliste, —
Święcę Tobie je na wieki, Morze Wiekuiste!

Święcę Tobie je na życie, na walkę, tęsknotę,
Bądź mu Matką: gdy mnie schłoniesz, przytul je, sierotę!

Święcę Tobie je na życie — sercem, duszą, siłą;
Bądź mu życiem, siłą, duszą, — jak mnieś męką było.

Zwól wysłuchać Twych tajemnic z głębin Twego łona.
Tchnij w nie dech Twój: niechaj duchem Twoją moc
[pokona!

Niechaj z Tobą, Tobą żyje, mocą Twą orężne,
Jak Ty wielkie, jak Ty wolne, Morze Wszechpotężne!“ —
. . . . . .
. . . . . .
Długo, długo rybak stary
w nocy ciemń wyciągał ręce
z dzieciną kwilącą
i gorące, głośne modły
huczącemu morzu słał.
. . . . . .
I — o dziwo! —
wicher zwiotczał,
ustał deszcz,

chmur czarniawa przerzedniała:
świtał jasny dzień!

. . . . . .

W świtania niknącym mroku
zwełnione widniało morze.

. . . . . .

Zza szyb okienka,
w radosnem wzruszeniu
ucichłą rybak dziecinę
wyciągał ku morzu
i ofiarne głosił modły.

II.

CHRZEST.

Jest zwyczaj prawieczny —
nieunikniona raczej konieczność,
że dziecię rybacze
na świat ze sobą łódź swą przynosi.
. . . . . .
Zanim jeszcze się narodzi,
ojciec już sposobi zwolna
godziwy materjał w drzewie —
w dębie i sośninie —
i przymawia się ze Starym
Wielkim Budowniczym łodzi
na cały pobrzeża okół.

Dnia tego, gdy na świat przyszedł,
na warsztat kładziono
pierwszą do ciosania belkę,
z której właśnie stanąć miał
rdzeń budowy: kil.
. . . . . .
. . . . . .

Ni matka ni ojciec stary
(w chwilach od połowu wolnych)
nie odstępowali robót.

. . . . . .

Z dzieciną na ręku,
biegła matka co raniutko
na miejsce budowli
i troskliwem bacznem okiem,
przed którem się nie ukryje
najbłahsza usterka,
każde żebro ukończone
postokrotnie oglądała:
zali kędyś drobny sęczek
mocy jego nie zagraża?
zali niema skrytych pęknięć?
zali zworzeń,
spajający żebro z kilem i nasadą,
nie dał wtórnych, drobnych szczelin?...

W rok stanęło żebrowanie.
A gdy pierwsze wyrzekł słowo,
wraz z chłopięciem
karkas łodzi
uroczyście chrzczono.

. . . . . .

Wśród podniosłych śpiewów,
i pełgania świec,
i jarzących lśnień
kapłańskiej, złotem tkanej szaty,

i perlistej rosy święceń,
siejącej na łodź
i na pacholęcia głowę
o rozwartych wielkich oczach,
ojca dłut miarowo żłobił
rufy rdzenia krawędź wnętrzną.
W wyżłobienie kapłan wdrożył
czarny krzyżyk,
na wieczystą łączność z Ojcem,
który jest w niebiesiech
i potęgą władnej dłoni
zdole — Wszechmogący —
rozgrzmiałe uciszyć morze.

III.

SNY CHŁOPIĘCE I NIEDOLE.

Dziwne wyrastało chłopię.
Nad dziecięcych zabaw gwar
i choralny
w święta śpiew,
nad świątalny
czysty strój
i łakocie,
nad matczyne baśnie
o tajemnym cudów świecie,
gdzie Królewicz stacza bój
ze straszydłem ślepookiem,
z panem mroków — Smokiem,
i Smoka mieczem zabija,
i gwiazd-słońc wyzwala krocie,
i sztandar zwycięski swój
z siedmiobarwnych tęcz
nad światem rozwija...;
i nad przejmujący czar
wieczorowych opowieści
ojca lub innego starca:
o obfitych łowach dawnych,

że wyciągnąć braknie sił,
że — bywało — sieć nie mieści,
a nieraz i rwie się wręcz, —
o przerażających burzach,
że się w sercu ścina krew,
gdy naremny wał
w brzeg skalisty trzaśnie
i olbrzymy skał
zmiecie,
niby pył...;
i nawet nad opowieści
najstarszego starca
o żeglarzach sławnych
i dalnych podróżach, — —
przekładał nabrzeżnych
fal barwną swawolę
i wielodźwięczne
poszumy.

Zapatrzony, zasłuchany,
spędzał dnie
śród niedziecięcej zgoła zadumy.
Szeptały mu dziwne głosy
melodje cudownych światów,
cudniejszych niż one z bajki.
Jak w czarownym śnie,
rozwierały się niebiosy:
wpośród deszczu kwiatów
i upojnej woni

zstępowały grajki, —
srebrne harfy w dłoni, —
jak blaski miesięczne
struny, — po bezbrzeżnych
mórz roztoczy
anielskie chorały
płyną, płyną,
aż na krańcach kędyś zginą...
Drżący cały,
z rozwartemi zdziwem oczy,
wizją cudną czarowany,
wśród załomów brzegu
spędzał dnie...
Niepamiętny godzin biegu,
spędziłby i noc,
o głodzie, do rana,
lecz już matka zatroskana,
lękiem nagłym zdjęta,
szuka go i w chatę bierze.

Kochał morza groźną moc
i nieścigłych fal swawolę, —
ale kochał i wybrzeże:
wyniosłe wierzyce
bodzących morze skał,
lądu wiekowe strażnice,
w niebiosów błękity
ślące dumnych tęsknot szczyty,
a piersią — zachłanny wał

tnące, niby ostry miecz.
Kochał ich bojowy los
i niedolę...
Ach, pamięta...
tę straszną godzinę,
jak duszącą zmorę,
chciałby z myśli zwalić precz! —
pamięta... grzmiącą fal lawinę,
mknącą z przeraźliwą siłą...
nagły, druzgocący cios, —
wir, kotłowanie...
a gdy wreszcie w mętnej pianie
odpłynęły wody,
najszczytniejszej, przedniej wieży
nie było...
ach, niéma!
gruz dziś leży,
brzeg zaściela,
przez falę gładzony,
otaczany. Po olbrzyma
zgonie łkał, nieutulony.
Zniszczeń dzieła
zapomnieć serce nieskore.
Kochał szczątki,
otoczaki,
schłoniętej mocy pamiątki,
wzorzyste, przecudne.
Każdy barwą, niby żywą
opowiada mową,

przeszłość dumną i bojową.
Wybrzeże staje się ludne
cieniami olbrzymów,
gwarne od ich opowieści...
.... Wtem chłopaki
wpadną hurmą hałaśliwą.
ach! chrzęst kamyków,
jak poklęsk piszczeli...
zdało mu się, że świętości
kala ród Kaimów,
że znieważa
drogie kości
wielkich nieboszczyków...
z płaczem wołał, by „cmentarza"
nie deptano! —
Do drwin skorzy,
chłopacy się śmieli,
że im baje opowieści,
boć to gruz był, otoczaki,
nie „cmentarz" olbrzymów...
Płakał... I odtąd co rano
chadza tam i najpiękniejsze,
najbarwniejsze
lub przeczyście białe,
zbiera, i myśl tajną pieści,
że je w łodzi swej ułoży,
że wyłoży niemi całe
łodzi dno...

IV.

Z KAMYCZKOWYCH LIR.

Kochał morza groźną moc,
i rozległe wód ogromy,
i nieścigłych fal swawolę...
lecz i brzegu kochał dolę.
Nieraz, w dzień czy jasną noc,
stawał, słuchał nieruchomy,
patrzał, jak swawolna fala
miłosnym splotem brzeg okala,
kształty zwija,
rozpowija,
w poigrach toczy się, przewala,
po kamykach brzęka,
dźwięka
kryształnemi młoteczkami,
jak po srebrnych strunach lir
paluszkami
wodnych dziew.
Drży rozlewny, rzewny śpiew,
polatuje w światła wir,
w świetlny pył,
z kamyczkowych lir.

. . . . . .

Aż oto fala-zwodnica odpływa,
gdzieś w głąb, gdzieś w dal...
Wraz z falą weselna pieśń spływa,
pożegnalnem echem dźwięka,
skargą jęka,
spowija się w kir...
Z kamyczkowych mrących lir
płynie szeptem cichy żal,
w konający szloch
bezdźwięcznie zawodzi:
„och!...
uchodzi, uchodzi! — uchodzi...
pożegnalnem echem dźwięka,
kroplą po kropelce ścieka
z życiem wraz,
och! pali, pali spieka,
żar — słoneczny żar
serce spala
w spękły głaz. —
O męka! —
Och, czy wróci fala?
czyli wróci?
czy znów życia pieśń zanuci?
czy żar schłonie
w chłodne tonie,
śmierć niosący żar?
czy nam tchnienie życia wróci?
ochłodą spiekę serc ukoi?
spękanych płomień ust napoi?

pieśń zanuci?
ach, czy wróci?
czy wróci zwodnica?
wodnica?
fala?
fala...
. . . . . .
Od żałosnych westchnień
schnącego wybrzeża
kurczyło się w bólu serce,
że zatykał uszy
i uciekał precz!

A nieraz —
oh, nieraz! —
wracające fale
nie pieszczotę brzegom niosły
— wiecznie zmienne,
jeno z furją się rzucały
zwichrzone,
wgryzały się w tęskny brzeg,
rozmiatały otoczaki,
ścierały je w proch,
i, parskając śmiechem pian,
pogardliwie pluły
odpadkami zielsk
i namułem rzek.

V.

„MON-ÂME".

Radość w sercach! w święceń dzień,
Łodzi kadłub wykończony
Wśród solennych gromkich pień
Na mórz fale już spuszczony.

Wdrożony ostatni tram:
Łodzi kadłub już gotowy!
Imię dano jej: „Mon-âme"...
Braknie tylko nadbudowy.

Imię łodzi jest „Mon-âme"...
Braknie masztu, żagli, lin:
Ojciec kadłub wzniósł — niech syn
Nadbudowę wzniesie sam.

Radość w sercach! w święceń dzień,
Łodzi kadłub wykończony
Wśród solennych gromkich pień
Na mórz fale już spuszczony.

Morze było dziwnie ciche —
W skrzących blaskach słońca drżało

Uśmiechnięte, snać witało
Nowy twór: czółenko liche.

Jakby Bóg niebieskiej czary
Kryształ w nieśmiertelne dłonie
Ujął, i mórz ciche tonie
Niósł w niej, jako niebios dary.

Morze, łódź — dwa twory boże
Jakby zespalały dusze
W wiekuiste serc sojusze...
I tak ciche było morze.

VI.

NA STRÓŻY SKARBU.

Pływał już i dawniej z ojcem
w wysłużonej ojca łodzi;
teraz maszt
i takelunek stary
oraz żagiel
przeniesiono w jego łódź.
Przyciężył jej maszt
gruby, niedopasowany,
lubo mu ściosano stopę,
skrzypiący, spękany.
Ciężą pod tysiącem łat
wyrudziałe płótna.
Posejpane ciężą liny,
usiane supłami związań,
jak strudzone ręce.
Rudel stary, wypaczony,
blachami skuwany,
że strzaskany był, gdy kiedyś
fala łódź o skałę prasła.

. . . . . .

Z bólem patrzał, że „Mon-âme“,

kształtna, lekka, czysta, nowa,
dźwiga starą nadbudowę,
ciężką i zużytą.
Wolał, by w ukryciu stała,
nim uzdaja nową,
gdy żeglarską trudną sztukę
w całości posiędzie.

. . . . . .

Ach,
widywał nieraz w snach
maszt wyniosły, śmigły,
strzelający w chmury!
żagiel cudnie-biały,
by skrzydła aniele!
ster niezłomnie-trwały,
i łódź, niby srebrnopióry
ptak, wichrom nieścigły,
jak one petrele!...

. . . . . .

Tak ją widział w snach promiennych,
niby przecudowny model,
czekający jawy wcieleń:
taką mieć chciał, by w nieznane
płynąć morza,
gdy żeglarską trudną sztukę
w całości posiędzie!

. . . . . .

Zanim przecie czas nastanie
na wcielanie marzeń,

łodzi strzeże, niby skarbu.
Skoro tylko wrócił z łowu,
wnet mył pokład, burtę, ławy;
wydobywał pilnie z wnętrza
najdrobniejsze trawy źdźbełko,
niby plenny chwast.
Każda przylgła łuska rybia
piekła go, jak strup.
Każde większe ziarno żwiru
jątrzyło, jak piasek w oku.
Mała plamka
była, jak cuchnąca ropa.
Sól, osiadła z wody morskiej,
ni zjadliwa pleśń,
którą spłukać wrychle trzeba.
Nawet zwykła woda studzien,
wykopanych na pobrzeżu,
zdała mu się nazbyt mętną:
zbierał strugi wprost z niebiosów
w dnie, gdy padał deszcz,
przechowując w czystych konwiach.
Zaś na przyszłość,
gdy „Mon-âme"
jako sen wcielony stanie,
kryształową ładził kąpiel
z rannych ros:
co poranku
— długie lata —
najpierw sam,

a potem z siostrą,
biegł na błonia
i z dźbeł trawy
strząsał w kruż
djamentowe łzy,
któremi w uśmiechu szczęścia
ziemia wita świt.
Służyły mu jako kruże
wielkie konchy,
trytonowe trąby-rogi,
dźwiękiem których
przed wiekami
poprzedzano ponoć orszak
władcy mórz —
Neptuna.
Trwałe były, jak z metalu,
i zrodzone w głębi wód,
i w perłową masę wnętrza
nie wchłaniały
— jak drewniane —
drogocennych kropel rosy,
ani się lękały
żrącej metal rdzy...

. . . . . .

Niby skarbu, łodzi strzegł...
Gdy w odpływu chwilę smutną
Fale porzucały brzeg,
Od upadku łodzi strzegł:
Poprzez wodę ku niej biegł
I przed chętką bałamutną
Na bok legnąć, łodzi strzegł —
W odpływową chwilę smutną.

Nie mógł znieść, by wpośród młaki
Ukochana legła łódź.
Wspierał burtę o kolaki,
Zaś pod kil, by nietknął młaki,
Dwa nadcięte wsuwał pniaki.
W sercu czuł ból ostrych kłuć,
Gdy wpośrodku wstrętnej młaki
Czyjąś ległą ujrzał łódź.

Przez swą wszystkie kochał łodzie.
Szedł, wydźwigał ległe z błota,
Wspierał, w czystej zmywał wodzie...
Ludzi błagał, by swe łodzie
Strzegli pilnie.... Śmiech w narodzie:
— „Próżny trud — niewielka cnota!
Nie zbutwieją dzielne łodzie,
Że im garstka przyschnie błota!“ —

Zaś gdy łódź obeschła już,
W odpływowy smutny czas, —
Zmywał z burt porośle mórz.
Gdy zaś łódź obeschła już,
Brał gotowej farby kruż,
Wracał łodzi świeżość kras,
I nim łódź obeschła, już
Odpływowy mijał czas...

VII.

CZARODZIEJSKI STRÓJ.

Raz, w lipcową cichą noc
— dziwną noc —,
pełną drżących gwiezdnych lśnień
— drżących lśnień —,
gdy wśród sennych morze drżeń
śniło swą królewską moc, —

skoczył w łódź,
wiosłem pchnął.
Ledwie wody wiosłem tknął,
woda snopem pereł trysła.
Wnet mu wiosło
w czarodziejski sceptr urosło,
djamentami nabijany.
A zaś łódź,
ledwie fale jęła pruć,
ogniami rozbłysła, —
jakby ów świecący twór,
królujący w wód głębinie,
przywabiony gwiazd migotem,
w tej czarów godzinie

wypłynął,
i ogon świetlany,
skrzący drobnych łusek złotem,
jak wachlarz ognistych piór,
niby kometa, rozwinął.

Wkoło morze pełne drżeń
— lśniących drżeń —,
i lipcowa cicha noc
— dziwna noc —
sieje czarów władną moc
w morze pełne drżących lśnień....

Wstrzymał łódź.
Suknie zdjął.
Skoczył. Ledwo wody tknął,
woda snopem pereł trysła,
ogniami rozbłysła.
Fale piersią począł pruć:
wnet, czarów godziną,
jakby rybak młody zginął,
zaś nad mórz głębiną
leciał już, nie płynął,
czarodziejskiej bajki twór,
królewicz świetlany,
w szacie z djamentów tkanej,
w koronie iskrzącej złotem,

nasypanej gwiazd migotem, —
na skrzydłach z ognistych piór...
. . . . . .
. . . . . .

Odtąd, zaolśniony,
niósł ze sobą w dalne strony,
w obcych łodziach, na fregacie,
sen-marzenie o „Mon-âme“
w czarodziejskiej z pereł szacie,
takiej, jaką miał on sam
w tę lipcową cichą noc
— dziwną noc —,
pełną drżących gwiezdnych lśnień —
— drżących lśnień —,
gdy wśród sennych morze drżeń
śniło swą królewską moc.

VIII.

ŁÓDŹ W UKRYCIU.

Nie! nie sposób pływać dłużej
ze zgrzybiałym ojcem,
co, nie mając sił na walkę
z wszechpotężnem morzem,
ławia jeno u wybrzeży!
Gdzież tu przeznać tajemnice
morza i żeglugi?
Gdzie się zwiedzieć,
jaki maszt,
szkwałom burz oporny,
da najtęższy rozmiot skrzydłom?
Gdzie naumieć, jaki kształt,
jakowy materjał przędzy
żaglom da pragnioną lekkość
i przeczystą biel,
i najchybszy łodzi lot?
Gdzież się wuczyć kręcić liny
cienkie, wiecznotrwałe?
zbijać rudel niepołamny?
i żeglować przeciw wichrom?...
. . . . . .

Zdjął ojcowskie uzbrojenie.
Pod nieprzemakalny namiot,
zdala od najśmielszej fali,
ukrył na czas kadłub łodzi.

. . . . . .

Odszedł —
zdobyć moc wcielenia
snów promiennych
o „Mon-âme".

Przeszło wiele, wiele lat...
Nie przemierzył wprawdzie morza,
Acz opłynął niemal świat
I w niejedne gnał bezdroża...

Nie przemierzył wprawdzie morza,
Lecz zwycięsko wyszedł z burz
I w niejedne gnał bezdroża:
Własną łódź chciał zładzić już.

Że zwycięsko wyszedł z burz,
W toń chłonięte widział nawy,
Własną łódź chciał zładzić już,
Chciał doświadczyć swojej wprawy.

W toń chłonięte widział nawy —
W uszach brzmi tonących krzyk!
Chciał doświadczyć swojej wprawy:
Znał fregaty, szkuner, bryg.

W uszach brzmi tonących krzyk —
Widział dwu i trzechmasztowe,
Znał fregaty, szkuner, bryg...
Dzielną wzniesie nadbudowę.

Widział dwu i trzechmasztowe,
I opłynął niemal świat:
Dzielną wzniesie nadbudowę.
Przeszło wiele, wiele lat.

XI.

ZA UPRAGNIONYM WYKSZTAŁTEM.

Samodzielna i twórcza praca jest długa i zmudna.
W męce krwawej i znoju wykuwać masz twoje dzieło,
Które w snach się promiennych, jak boski siew, zapoczęło:
Wcielić musisz, acz wcieleń droga nużąca i trudna.

Nieraz, gdy jak lunatyk za upragnionym wykształtem
Pniesz się, ziemia ci będzie jako pustynia bezludna,
Życie jako trzęsawa, zdradliwą łąką przyłudna,
Żądna schłonąć w swej grzęźli ciebie i dzieło ryczałtem.

Wytrwać musisz, jak tytan! czujność podwoisz i moce,
Pustkę snami zaludnisz, na topiel most rzucisz z tęczy,
Z serca płomień wykrzeszesz, zniczem świecący w pomroce,

Stopy, krwawe od głazów, w oprzęd spowiniesz pajęczy —
Wytrwasz! mękę serdeczną przetrwasz i szczęścia rozbicie,
Zjawie snów twych promiennych kształt dasz realny
i życie.

Skoro świt,
płynął —
niestrudzony,
Dziwny łup
goniąc —
łowca drwiony.

Srebro łusk
goniąc
wzorem dzieci,
Tysiąc ryb
puszczał
wolno z sieci.

W morską toń
puszczał
ryb tysiące,
Ciskał w kosz
jeno
srebrem lśniące.

Srebro łusk
jeno —
łowca drwiony.
W łowie ryb
gonił —
niestrudzony.

Łuski srebrzyste,
zmyte ze śluzu,
zbiera,
W słońcu suszone
w pyłek drobniuchny
ściera,
Z pyłku przecudną
farbę perłową
robi,
Łódź swą, jak ludzie
perły kunsztowne,
zdobi.

W jesienne
dnie,
zadumą smutne,
Na senne
pól
rozłogi puste,
Srebrzystą
nić,
co zwiewna płynie
W przeczystą
wyż,
biegł z siostrą chwytać.
Czy w niebie
ją
Madonna przędzie,
Czy z siebie
mdły
pajączek snuje, —
Nie tknęła
nić
ziemskiego kurzu,
Nie wzięła
nic
z poziemnych brudów...

Choć spotkani
drwią
z nich ludzie,
łowią wciąż: czas nagli!

Gonią nić i
śnią
o cudzie
srebrnoskrzydłych żagli.

Hejże! nagli
czas:
splątane,
pomierzwione nicie —,
Nie rozplątać
wraz!
a tkane
będą równo, zbicie.

Hej, nie utkać
wraz:
nić cienka,
długie skrzydła żagli —
Tkać nie mały
czas.
Hej, ręka
rękę goni, nagli.

Słychać śpiew.
Płynie śpiew!
Z drzwi kuźnicy
Bije dźwięk:
Stali brzęk!
Z drzwi kuźnicy
Płynie śpiew:

„Kuję ster!
Kuję ster!
Kruszec twardy
Razi młot.
Spływa pot...
Kruszec twardy
Kuję w ster!

Młocie, wal!
Ogniu, pal!
Rdzę żelaza
Zgryzie żar,
Stopi war!
Rdzę żelaza,
Ogniu, pal!

Młocie, wal!
Gromem wal!
Kruszec twardy
Na ster kuj!
Słodki znój...

W kruszec twardy,
Młocie, wal!

Wali młot!
Piorun, grzmot!
Skra w krąg pryska —
Miech wciąż dmie —
Płomień wre!
Skra w krąg pryska:
Wali młot!

Kuję ster!
Trwały ster!
W kruszec twardy
Bije grzmot:
Mój to młot
Kruszec twardy
Kuje w ster!"

Płynie śpiew!
Hardy śpiew!
Z drzwi kuźnicy
Bije dźwięk:
Stali brzęk!
Z drzwi kuźnicy
Płynie śpiew.

X.

PIEŚNI FAL.

W noce białe, gdy Tęsknica
Płynie morzem — bladolica —
w księżycowych mżach —

Łódź swą w morze wiódł z przystani,
Płynął w ślad tęskniącej Pani
— w księżycowych mżach —

Puszczał ster i składał wiosła,
Łódź go tęskna sama niosła
— w księżycowych mżach —

A iskrzące fale grały
Przyciszone swe chorały
— w księżycowych mżach:

1. Cicho, ciszej! siostry fale!
Zwolnić, zwolnić bieg.
Nikła łódź na wód krysztale:
Senny śni w niej człek.

Płyńmy, płyńmy, siostry fale!
Z dali w dalny bieg.
Łódź kołyszmy w wód krysztale:
W rytm niech sen śni człek.

2. Płyniem, płyniem, dłoń we dłoni —
Fal wiązany sznur.
Fala falę wartko goni...
Fala fali piosnkę dzwoni
W strojny chór.

Pędzim, gonim, po mórz toni —
W nieskończony sznur.
Fala fali nie dogoni...
Pieśni wtórem pieśń oddzwoni
W strojny chór.

3. Płyniemy z dali, —
Z dali srebrzystej,
Z dali słonecznej,
Płyniemy...

Płyniemy nad tonią, —
Po toni wieczystej,
W gonitwie bezpiecznej
Płyniemy...

Płyniemy bez troski,
Nad morską głębiną,

Pod głębią nieb siną,
Płyniemy —
Huf boski...

Zaś gdy świtem szedł z przestworza
Ranny, świeży wiew,
Kołyszące pienia morza
Zmieniały się w zew:

4. Człowiecze, śpisz?
czy śnisz? —
Pieśń fali wolnej słysz!

Rzuć brzeg!
rzuć nikły brzeg!
Bierz swawolny, wolny bieg!
Płyń w wieczysty bieg!

Hej! słysz fali wolnej pieśń!
Rzuć cieśń!
rzuć brzeżną cieśń,
Płytkiej wody brud i pleśń!
Rzuć nędzny lądu zrąb!
Na niezmierzoną wypłyń głąb!
na czystą głąb!

Człowiecze! słysz nasz zew,
wolnej fali śpiew!
Płyń w dal!

W słoneczną, wieczną dal —
Na niezmąconą głąb —
W niestrzymany bieg —
W wiekuisty lot —
W beztroski, boski lot,
jak gonitwa fal,
jak korowód wolnych fal!
Płyń w dal!...
Płyń w dal!...

XI.

U STÓP WYBRAŃCA.

(MODLITWA.)

— „O dumny!
O wyniosły
ponad las, ponad góry!
na szczycie najwyższej z gór
stopą sięgający chmur,
a koroną ponad chmury
wzrosły!
Igliwia Twego szum,
konarów Twoich pogwar szumny
przedziwną, tajemniczą mową
kołysze się nad moją głową,
wyzwala w duszy polot tłumny
przepaścistych dum,
rwących się — jak Ty — nad chmury...
O wyniosły!
do stóp Twych mocarnych
ustami przypadam, —
u Twoich stóp czarnych,
pracą-walką wrosłych w grań,
dań składam,
korną dań:

z potu mego, walk i krwi,
z drżeń serdecznych czystych,
z moich dum strzelistych,
podniebnych jak Ty!...
O olbrzymie!
w pozłocistym słońca dymie,
w przezroczym bezmiarze
skroń wyniosłą pławisz,
wniebowzięty!
a burzom gromowym,
natarciom wichrowym,
czoło dumne stawisz,
w zapasów głuszącym rozgwarze
nieugięty!...
O ukochany!
o zpośród wszystkich wybrany!
u stóp Twoich klęczę
i jęczę
wśród serdecznych łkań,
bo dań
Tobie niosę — —
i niosę Ci śmierć...
Och! serce tysiąc cierni krwawi,
a oko zachodzi w mgłę-rosę,
a oko boleśnie łzawi...
Pal, łzo, duszę! wierć!
żarem wierć!...

. . . . . .
. . . . . .

O nieugięty!
nie zmogły Cię naremne burze,
przetrwałeś wichry-karły, —
a otoś w oczach mych, jak zmarły!...
otoć niosę śmierć!
otoć w serce stal zanurzę,
pień wyniosły zwalę,
ciąć będę konary,
stos z nich złożę, spalę, —
iżem ukochał Cię bez miary...
iżem za Tobą szedł zdaleka,
och, zdaleka — hań! —
śmiertelnie długie dnie i noce,
wychudły, zeschły, cień człowieka...
i jeno serca tężył moce,
i za Tobą, upragnionym,
jak za ognikiem nikłym, błędnym,
kędyś, gdzieś zjawionym,
szedł zdaleka,
och, zdaleka — hań!...
Po tem uboczu stromem, błędnem,
na tę zrywną darł się grań,
w znoju, w męce,
w krwawiących stóp udręce...
Niepomny mąk,
wczepianiem się mdlejących rąk
darłem się na grań,
gdzieś Ty stał,
wysokopienny! —

gdzie Cię wiater ongi wsiał,
wolny wiatr przestrzenny...
I oto wdarłem się ku Tobie,
iżem ukochał Cię bez miary. —
I oto słaniam się w żałobie,
we łzach do stóp Twych przypadam:
iżem ukochał Cię bez miary,
śmierć Ci zadam — —
śmierć!
Pal, łzo, duszę! wierć!
żarem wierć!...

. . . . . .

. . . . . .

O wybrany!
usta do stóp Twoich chylę,
stopy Twoje łzami roszę,
prośbę korną wznoszę:
pojrzyj! serce męką silę,
bólem krwawię duszę,
że Tobie, o ukochany!
cios śmiertelny zadać muszę...
Daruj! w serce czyste wejrzyj!
duszę nawskroś przejrzyj!
serce Twoje ku mnie zwróć!
śmierć Ci zadać muszę — —
Tam, w oddali czeka łódź,
bieg daleki zwleka,
długo, długo nas już czeka —
moja łódź... i Twoja!

boś Ty wybrany!
Staniesz jako maszt podniebny,
będziesz jej ostoja
przeciw wichrom burz —
Ty, coś przetrwał wichry-karły! —
I otoś w oczach mych już zmarły...
Iżem ukochał Cię bez miary,
daruj! wrażęć w serce nóż,
wytoczę smołę-posokę,
pień wyniosły zwalę,
zetnę dumne Twe konary,
w stos ułożę je i spalę...
Pień wyniosły na dół zwlokę,
hań! powlokę, gdzie daleka
łódź nas obu zdawna czeka —
moja łódź, i Twoja...
Tam, w mej łodzi
żywot Twój się przeodrodzi:
wskrześniesz, jako maszt podniebny,
będziesz jej ostoja!

. . . . . .

Stąd, ze skał,
gdzie-ś bezimienny
na samotnej turni stał,
kędy wsiał Cię wiatr przestrzenny, —
zejdziesz w moją łódź!
imię Ci jej dam:
„Mon-âme!...
Staniesz, jako maszt podniebny,

Ty! wysokopienny!
popłyniesz w dalekie morza,
na błękitne fale,
kędy szlak uścieli zorza
w wiekuiste dale.
Tchnień przeczystych Ci nie zbraknie,
ani słońca lśnień,
ani wichrów, których łaknie
szczytowy Twój pień...
O ukochany!
czeka Cię łódź moja:
tam, Twój pień,
jako maszt strzelisty,
dumny,
będzie jej ostoja
przeciw wichrom burz!
Spowije go w cień
żagiel biały, rozłożysty,
jak Twoje konary,
jak konary Twoje szumny...

. . . . . .

O wybrany!
czekać, czeka łódź.
Daruj! męką silę duszę —
śmierć Ci zadać muszę.
Daruj! serce ku mnie zwróć!
daj znak!
znak daj przebaczenia!...

. . . . . .

. . . . . .

Ścichasz?! ścichasz...
hamujesz rozgwary,
poświstowe dźwięki...
szeptem ledwie, ledwie wzdychasz...
usypiasz igliwia drżenia...
Ścichłeś. Zgasły szeptne tchnienia.
Zamarły konary.

. . . . . .

O, dzięki Ci, dzięki!
Znak mi dajesz! znak!
znak przebaczenia...
O ukochany!
mocą już nie władam,
do stóp Twych upadam,
usta ku nim chylę,
łzami stopy Twoje roszę...
że z rąk mych przyjmujesz śmierć,
modły wdzięczne wznoszę.
Męką duszę silę:
dopełni się los!
wrażęć w serce cios!
pień wyniosły zwalę,
pościnam dumne konary,
w stos ułożę je i spalę!
W konarów Twych rozwiewnym dymie
uleci w niebo Twoje imię.
Odmienia się los! noweć imię dam,
jak moja łódź: „Mon-âme"!

. . . . . .

O wybrany!
żeś mi zesłał znak,
znak przebaczenia,
przyjm dziękczynnych modłów pienia!
Że chcesz przyjąć śmierć z mej ręki,
dałeś znak:
o dzięki Ci, dzięki!
O dzięki Ci, ukochany!...

XII.

DZWON ŻAŁOBNY

Dzwoni dzwon!
dźwięczy dzwon!
jak łka on
w kruczy ton...

. . . . . .

Krwawą smugą zorza znaczy
drogę mej rozpaczy...

. . . . . .

Tam płynęła z rybakami
w porankowe zorze...
Krwią jej dziś się fala plami. —
Krwawe, straszne morze!
O!...

Mroczna toń!
mroźna toń!
Sina skroń...
Sztywna dłoń!...

. . . . . .

Twa pomocna dłoń siostrzana!
Skroń twa ukochana....

. . . . . .

Miałaś płynąć ze mną w dale,
w tułacze bezdroże...
Krwią twą dziś spłynęły fale. —
Krwawe, straszne morze!
O!...

Sen śród wód, —
śmierć śród wód!
Życia trud —
gońba złud.

. . . . . .

Pomnisz: srebrną nić pajęczą
goniłaś z ros tęczą?

. . . . . .

Pomnisz: śniłaś, tkając żagle,
z wichrem lot, nieboże?...
Dziś cię fale chłoną nagle...
Krwawe, straszne morze!
O!...

Serce łka,
skargą łka,
bólem drga...
Siostro ma!

. . . . . .

Ostawiłaś mnie, sierotę,
na walkę-tęsknotę...

. . . . . .

Jakoż teraz sam popłynę?
W boju któż spomoże?
Czyha toń na łódź-łupinę. —
Krwawe, straszne morze!
O!

Dzwoni dzwon!
dźwięczy dzwon!
jak łka on
w kruczy ton...
. . . . . .
. . . . . .

Ucichaj, serce!...
Ucichaj!...

XIII.

W BEZKRES.

1. „Żegnajcie! żagiel wnet rozwinę,
od lądu odpłynę.

Żegnajcie! w daleką odpływam wyprawę —
Może odpływam nazawsze —
Żegnajcie mi!... nie płaczcie!...
Że Was odbiegam, oczy mam łzawe,
Serce — niźli oczy — łzawsze...
Że Was odbiegam, wybaczcie!

Nie płaczcie! o Matko, nie płaczcie mej doli!
Niech się w Was serce nie żali...
Niepokój niech nie gnębi...
Że w dal odpłynę — płynę z mej woli:
Życiem dla mnie — żyć na fali...
Zginę?... toć zginę na głębi!...

. . . . . .

2. Żegnajcie! żałość w sercu skryję —
od lądu odbiję!

Muszę, muszę już odpłynać:
Toczy mię serdeczny głód,
Tu z tęsknoty by mi ginąć, —
Tam wędrówki wolny trud.

Tu z tęsknoty by mi ginąć
Wśród odpływu grzęzkich błót,
Tam mi wiekuiście płynąć
Po głębokiej toni wód.

. . . . . .

3. Żegnajcie! znaczy czas godzinę:
za chwilę odpłynę.

Za chwilę małą was porzucę —
Usłyszcież tajemnicę!
Mnie jeno żyć śród fal, — lecz wrócę,
Gdy spotkam Cud-Ziemicę:

= Jest kędyś — serce mi szepce —
Wyspa z białych korali.
Wieść się o niej w sercu pali,
Fala szmerem wieść tę szepce...

* * *

= Nad Wyspą niebo pogodne,
Groźbą wichry nie wyją.
Fale brzegu w gruz nie biją:
Ciche pląsy fal, pogodne...

* * *

= Dokoła pełne ryb tonie.
Łowom wichr nie przeszkodzi,
Burzą nagłą w łódź nie godzi —
Rybak pastwą burz nie tonie.

* * *

= Nie jęczą fale strzaskane —
Morze wokół pogodne.
Mgieł nie wiszą zmrocznie chłodne.
Łodzie nie mrą, w mgle strzaskane.

* * *

= Za falą brzegi nie tęsknią:
Morze w dal nie ucieka,
Błót kir Wyspy nie powleka —
Łodzie pośród błót nie tęsknią...

* * *

= Cud-Wyspa, serce mi szepce,
Czeka kędyś w oddali —
Z fal ją dźwignął trud korali —
Czeka kędyś, fal szmer szepce...

* * *

Gdy ją napotkam: Cud-Ziemicę,
Słuchajcie! z wieścią wrócę!
Przyjmijcież moją tajemnicę...
Za chwilę was porzucę.

. . . . . .

4. Żegnajcie! żagiel rozpowijam,
od brzegu odbijam.

. . . . . .
. . . . . .
Hej! mój żaglu, skrzydła wznieś!
Wiatry-wichry chłoń!
Łódź przed wichrem nieś!
Łódź w dalekie morza goń!

Hej! maszt skrzypi, wicher dmie,
Wartko płynie łódź,
Piersią fale tnie...
Falo! śpiew mi wolny nuć!

Hej! wiatr świszcze w ścięgnach lin,
Ziemia ginie w mgle...
Tobie — ziemi syn,
Ziemio! pieśń żegnalną śle!

Hejże! pieśń tułaczą gram —
Wolnej fali śpiew —
W dal, hej! w dal, „Mon-âme!“
W bezkres mórz, na wolny wiew!

KSIĄŻKA ZAWIERA:

Poświęcenie 5
Motto (z J. Richepin'a i Ch. Baudelaire'a) . . . 7
LATARNIA (prolog) 9

CZĘŚĆ PIERWSZA:

WIECZYSTY BRZEG (undyna) 19
BAJKA (kołysanka) 27
MGŁA 35
SKAŁA 43
ZACHÓD TAK CICHY 49
ODPŁYW 55
JAK TOŃ OCEANU 61
PRZYPŁYW 65
W CZAS BURZY 73
NAWROTY FAL (undyna) 79
CISZA 85
NOKTURN KSIĘŻYCOWY 91

CZĘŚĆ DRUGA:

RYBAK (powieść liryczna): 97
Przedmowa 99
I. Hymn ofiarny 101

II. Chrzest 107
III. Sny chłopięce i niedole 110
IV. Z kamyczkowych lir 115
V. Mon-âme 118
VI. Na stróży skarbu 120
VII. Czarodziejski strój 126
VIII. Łódź w ukryciu 129
IX. Za upragnionym wykształtem... . . . 132
X. Pieśni fal 139
XI. U stóp wybrańca (modlitwa) 143
XII. Dzwon żałobny 151
XIII. W bezkres 154

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017866406

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
514210